

Marja L. Krüger

O d w i e d z i n y

Weronika — pęknięciem szklan-ki swoich zaprosiła. U Soboltow-skich — świeca przez pół się zła-mała — Juruś się przypomina — powiedzieli. Na Krochmalnej, u Bolków — hukanie takie w nocy było, jakby kto garnki rzucał — i zaraz wiedzieli że to stary, Bolkowy ojciec o odwiedzinach się prosi.

Leokadja zachwianiem się pło-mienia lampki — znak dała, Sta-sieńka trzy razy ojcu zaparkę ga-siła, Stefcia puknięciem w szy-bę swoich wołała.

U Feliszczaków — cieniem coś po ścianie przeszło — o Jezu — Mietka wspomnieli. A Władek po starym mieszkaniu swoich szu-kał i nie znalazł. Wiatrem zim-nym wionął, w kominie jęknął.

A potem nazad wracali. Po-przez ściany, poprzez mury, przez zamknięte drzwi i okna — naw-skróś. I dalej — powietrzem ich niosło. Nad ulicami, dachami, ka-mienicami, nad drutami tramwa-jów i szynami, i nad drzewami, polami, nad wodą. Mgłą i parą lecieli.

Weronika — w powietrzu lecia-ła na wznak leżąca, w popielatej sukni jedwabnej, z rękami złożo-nymi.

Jurusia — jakby stojącego niosło, bo trzewiczki miał na nóż-kach grube, skórzane, ciężkie, co go do ziemi przyciągały.

Stary, od Bolków — na bok le-żący fruwał, — a to dlatego że mu ten klucz, co go z kieszeni czar-nego, odświętnego garnituru wy-jął zapomniał — ciężki.

Za Leokadją — różaniec, co go w skrzyżowane ręce wpleciony miała, paciorkami grzechotał, krzyżkiem błyskał. Stasieńka w tył głowy odciągała warokce bia-łą, atlasową wstążką wiążane, Stefcia główkę zupełnie na dół leciała, bo taki ciężki był ten pe-cuszek kwiatków parafinowych, co przywiązany miała na czole.

Tylko Mietek najroźniej leciał, najroźniej go niosło, jakby wiatr nim miotał. A zaraz za nim, le-wym bokiem do ziemi odwróco-ny — Władek z kulą w sercu.

Lecieli tak, lecieli nad mias-tem i za miastem, aż do bramy przypadli.

Nad nią ich przeniosło — i mie-dzy drzewa, pomniki i krzyże jak-by się rozpięli.

Weronika pod równiutko odar-niowany grób się zapadła, foto-grafią zamkniętą w blaszanym pudle w kształcie serca, z szybką, i wieńcem konwalijowym otoco-ną się stała. Z pociągłą twarzą, na wałek czesana, z wysokim koł-nierzem — Weronika, co prze-żyła lat trzydzieści jeden.

Juruś, od głównej alei zaraz w bok obłoczkiem przez krzyże i drzewa przeleciał i w posąg się obrócił. Na głazach, na skale fi-gurką stanął pomalowaną, w ma-rynarskim ubraniu, jedną rączką wspartą o biały pień brzozy, a w drugiej rączce kwiatki. Pod stópkami, przy skale — gołąbek biały z gałązką zieloną w dziobku.

Stary, Bolkowy ojciec, przezro-czystą postacią do połamanych sztachet co grób otaczają przy-padł, zaszmotał niemi i jeszcze więcej zwał. A potem gniewnie liście na mogile leżące rozrzu-cił i w ziemię nagrobna wsiąknął. I tak się potem jeszcze obrócił, aż się kopczyk poruszył, a krzyż prawie bez przewrócił.

O trzy aleje dalej — Leokadja z rękami przed siebie wyciągnię-tymi, nad świeżo usypaną mogi-łą się unosiła, a palcami z mgły, szarfy pozostałych jeszcze z po-grzebu wieńców przebierała. I tak do nich coraz bardziej się pochy-lała, aż z westchnieniem ciężkim mgłą na te szarfy i blaszane wień-ce się położyła.

Stasieńka wolno, wolniutko ku swojej mogiłce powietrzem pły-nęła. Przeciw sile co ją niosła, jakby się opierając — głowę ku miastu zwracała. Aż ją dopiero wiatr jakiś pchnął, a długie war-koce naokoło pomnika się określi-ły. Potem, coraz przezroczytsza się robiła, aż wkońcu zupełnie już nie było jej widać, a czarne war-koce — bluszczem się stały.

Miedzy mogiłami, jakby opa-rem turlała się Stefcia malu-sienka. Nad swoim grobem długo się i bezradnie to wzno-siła, to po sztachetach czeptała.

Ułożyć się nie mogła i płakała cieniutkiem, niemowłecem zawo-dzeniem. Wreszcie natrafiła na tę swoją kapliczkę i zaraz ob-lóczkiem pary na szybce osiad-ła. Za chwile — tę parę jakby ręką starł, a w środku, w kaplicz-ce, na fotografii, otoczonej wia-nuszkiem wielkich, blaszanych niezapominajek — widać było Stefcię leżącą w trumnie. W białej sukience, tej od chrztu i z ręczkiem Kwiatków, przywiaz-nych na główce bez włosków, wstążką nad czołem.

Mietek znów — to tu, to tam — między drzewami, nad ziemią — cieniem się włożył od grobu do grobu. Tak szukał swojego. I czarnym cieniem ręki po na-grobnych napisach wodził. To nie tu, i nie tu. Na tablice i bla-chy czarnymi dolami patrzył, na różne nazwiska, a swojego nie wi-dział. Aż dopiero trafił na tę swoją mogiłę bez znaku, bez bla-chy — tylko tyle że z krzyżem.

L. Całkosińska

Bohater

Co to za szczęście dla J. E. Priestley'a¹⁾, że nie urodził się Ir-lanckim? Jedynie przysłówio-na flegma angielska uchroniła „Bohatera” od tak gorą-cych objawów zainteresowania, z jakimi spotkał się przed laty w Irlandji: generał John Regan (G. Birmingham²⁾). Jedynie chyba tradycja bezlitosnej kary Rotmy Hogartha, satyry Swifta, obczy-kowej szkoły Thackerayów, w któ-rej mocno bito różgą sztyrsetwa, pozwoliły Priestley'owi uniknąć przykrych konsekwencji. Może się ich nawet spodziewał, wska-zywałaby na to lakoniczna przed-mowa. Jedno jest prawie pew-ne, w Polsce nie uszłaby tu ta satyra płazem; na rów-ni z Irlandczykami nie lu-bimy drwiny. Ale prasa an-gielska, cel pocisków Priestley'a — nie pogwałciła międzynarodowego savoir vivre'u, ośmieszona — śmieje się. J. B. Priestley „za-bawiać tłumów” (jak sam się chętnie nazywa) chodzi bezkarnie i bezpiecznie po świecie! „Boha-ter” uniknął autodafe! Czytelnicy bawią się doskonale treścią i wszystkim jest w porządku.

Okładkę „Bohatera” powinna przecinać jaskrawa reklama w stylu afiszów Denky Doos:

„Niechże to sobie raz wszyscy po-wiedzą!

Najnowsza powieść dnia pojutrzej-szego!

Niebywała Historia Bohatera (któ-ry Nim nie był) i Prawdziwego choć nie Aktualnego Heroja.

Szczególne podziękowania ze stro-ny Pp. Dziennikarzy i Reporterów.

Zart i Śmiech.

Czytajcie! Czytajcie! Czytajcie!

Tej kapitalnej satyry komicz-nej streścić nie można. Podać fa-bułę, to tyle, co pokazywać wy-błaski echantillon wspaniałej ma-terji. Cóż z tego że opiszę pery-petję Charlie Hobbles, abonenta „Trybunu Codziennego”, prowincjonalnego rzemieślnika, wynie-sionego przez wszechwładną re-klamę do godności bohatera na-rodowego. Nie będę w stanie oda-dać nawet w przybliżeniu humo-ru — ironji — zrzeczności, z jaką autor między dwoma uśmiechami daje ciosy. Priestley używa w ca-łej pełni! Śmieje się, kpi, płata figle, cziczeronuje Hobbliowi w wędrówkach po Londynie, luksu-sowych hotelach i redakcjach. Całe pozakulisowe życie sensa-cyjne — codziennie — ilustrowanych kurjerów. Cała technika reklamy i aktualności przesuwają się przed oczyma czytelników. Charlie Hob-ble nagrodzony. Charlie stały abo-ntent „Trybunu Codziennego” — filmowej, wysta-żający w aktualnościach filmo-wych podsunęły mu speech'e.

Tak, od lat jestem pilnym czytelnikiem Trybunu. Śmiej twierdzić, że nie to pomogło do wypełnienia (jakikolwiekby był)

I na jego ramionach swoje pisz-czele rozłożył, a czarne, przegni-łe żebra rozplotły się w ozdoby żelaznego krzyża.

Obek — brzęknęła o kamień kula we Władkowem sercu — kiedy na płytę grobową na wznak padł i przez nią w ziemię się przesaczył.

A rano, ci z miasta w odwie-dziny, w gościnę zjeżdżać zaczęli. Odświętni, postrojeni. Z kwiatami, z podarunkami przez bramę się tłoczyli, po alejach głośno tupali. Każdy do swoich szedł.

U Weroniki w gościnie — maż i dwoje dzieci. Grób naoko-ło obmietli — cztery doniczki astrów złotych, zimowych, po rogach ustawili. Potem na ławeczkę przysiedli — maż prze-czytał co na pomniku pisane było:

O Weroniko, droga moja żono, Tęskno do ciebie i smutno na świecie

obowiązku dobrego Anglika. Przy-puszczam, że to samo powiedzieli by nasi wszyscy czytelnicy; to doskonały pretekst do wypowie-dzenia przykrych prawd pod ad-resem prasy.

Przykrych, dowcipnych prawd!, lecz nie jadowitych. Strzały Priest-ley'a — choć rania, — nie są zatrute, rany po nich nie ropią. Ktoś inny, Thackeray, uczyniłby z Hobbli głupca wystawionego na sztyrsetwo; wywyższonego i spod longiego wywyższeniem. Dickens, — ofiarę reklamy i wyzysku. Op-tymistą Priestley pozwala Hob-bliowi wytrwać. To prawda, ta sama prasa, która uczyniła zeń bo-hatera aktualności, ospała (świadoma stęgnej famy) darami, odrzuca go po dwóch tygod-niach do kosza z odpadkami. Jej miarodajność tkwi w tem, że bez skrupułów deprawuje bohatera chwili, wyrzucając go z normalne-go biegu życia, jego rzecz czy bę-dzie umiał, zakosztowawszy sław-y, powrócić do dawnych warun-ków. Ale odpowiedzialność za to spoczywa w części na nienasyco-nej, chciwej emocji publiczności.

Niechże się dzielić winą! Szczę-ściem Charlie Hobbles ma więcej rozsądku od innych wielkości, akurat tyle, ile powinien mieć przedstawiciel opiewanego przez Priestley'a średniego stanu. Dzie-ki temu Charlie wychodzi z opre-sji nie tylko cało, lecz i z honorem. Bo trzeba państwu wiedzieć, że to nie on był bohaterem. Nie on przeciał przewody elektryczne wiodące do materiałów wybucho-wych, nie on uratował fabrykę i miasto. Bohaterem jest zbieg, agitator komunistyczny Kibworth.

Mizantrop kazałby Hobbliowi schować w milczeniu na-grodę, uzyskaną od „Trybunu”. Ale Priestley wierzy w człowieka.

Nieaktualny już Hobbles za-czyyna swą drugą wędrówkę w ce-lu zrehabilitowania Kibwortha i siebie. Nie udaje się ta akcja. Wyrzucony za drzwi z redakcji (Nie mamy już zapotrzebowania na bohaterów. Bohaterstwo jest już nieaktualne, odożyliśmy je ad acta) asystuje procesowi kom-unisty (Anglia jest wolnym krajem i nie chcemy, by w czem-kolwiek przypominała Rosję... Proszę, by oskarżony zrozumiał. Nie skazujemy go za przekonania polityczne. Żyjemy w wolnym kra-ju i każdy może mieć przekonania takie, jakie mu odpowiadają. — Skazujemy, ponieważ przestrze-gany i raz już skazany, usiłujecie działać w sposób zagrażający spo-kojowi)...

O, praworządny i lojalny oby-watel Priestley ani przez chwilę nie lęka się posądzania o niepaf-stwowe zapatrywania; piętnować

Zylaś tak krótko żono ukochana Cierpiałas tak wiele i poszłaś do [Pana.

Tak tym wierszem do niej mó-wił.

Od Soboltowskich do Jurusia przyszli — ojciec, matka, sio-sztra Irenka i ciotka. Wszystko czystuśko oporządził, grób gałgankiem wilgotnym obmył, a przed grobem piaskiem żółtym wysypali i gałązki świerkowe u-łożyli. Ciotka wianuszek z czerwonego wrzosa na grobie po-łożyła, a w środku wianuszka — świeca zapalona. I tak czekali aż się ta świeca wypali i mówili o tem, że chyba wezmą ten sklep na Białołęckiej.

Bolkowie, jak przyszli, to się aż za głowę brali, że te sztachety takie połamane i grób taki za-niedbany. Liście odgarnęli i ca-ły grób szalwią, co ją przed bra-ną wytargowali — obsadzili. Po-tem podłeli, żeby się długo trzy-

obludę jest jego prawem, prawem uświeconym tradycją powieści an-gielskiej.

Fun is good, truth is still bet-ter, and love best of all — powie-dział Thackeray, a i Hobbles jest widocznie tego zdania, bo osta-tecznie zarczą się z Idą Ches-wick — premjowaną pięknością, podobnie jak on nieaktualną. Wracają na prowincję, pewni jed-nego: żadnych złudzeń w stosun-ku do „swej gazety”!

Ileż życia, werwy i humoru w tej powieści. Spróbujcie komu wytłumaczyć, że autor nie jest tu na swym gruncie. Spróbujcie udo-wodnić, że to nie on, nie Priest-ley we własnej osobie wcielił się w wesołka i kpiarza Huhgso-na. (Nie jako dziennikarz, lecz benjaminek matki swej, pro-szę pana o odpowiedź, nie boha-tera, zbawcy tysięcy ludzi, Angli-ka, wypełniającego obowiązek, lecz ludzką istotę, „jedyną radość swego ojca”, czy rzeczywiście zrobił pan to wszystko tam w Utterton?... Nie? Akurat tak my-ślałem. Dziennik nasz byłby w złej passie, gdyby musiał poprze-stawać na prawdziwych wido-mościach. Dobrze! Widać żeśmy jeszcze nie upadli).

Nic to nie pomoże, że nam ktoś tłumaczy, iż Priestley, eks-stu-dent, eks - kombatant, eks - dzien-nikarz — wreszcie znany krytyk i pisarz, tworzy swe fikcje, sie-dząc za londyńskim biurkiem. W każdej z nich, pulsującej życiem, odnajdujemy jego samego. Moż-naby powtórzyć zdanie krytyka Hunta, piszącego o Dickensie:

„Cóż to za zdumiewające zjawis-ko: swą duszą i życiem mógłby oddzielić pięćdziesięciu ludzi”. Czem i kim nie był Priestley? Tra-gicznym bohaterem „Nocy”, Inigo Joliffantem, nie

poprawnym enfant terrible, weso-łym wagabundą i towarzyszem „Dobrych kompanów”.

Wbrew biografom i faktom, my, czytelnicy, wiemy o nim wię-cej od innych. Może nie zatrzy-mywał się w hotelikach i ober-żach Lancashire? Nie grywał to w barach Nottingham'u? Nie sza-łał i nie płał figli? Może to nie on sprzedawał po jarmarkach, wraz pocziwem Oakroydem gu-mowe zabawki? Ach, na skórze niedźwiedziej nie spaść jego sprawek, znajomości i pomysłów. Wrócił z niemi do bezimiennnej rze-szy czytelników, zaludnił wyobraź-nię żywymi, pełnymi charakteru postaciami. Wielki mózg i zakli-nacz, za którego wolą słyszymy w rytmie słów melodie piosenek, wi-dzimy szaleńcze pas tancerza Jer-minhama, nawet czujemy posmak kurzu, unoszącego się z desek sce-ny. No, bo proszę — czy może kto

mała. Jako tako to wyglądało, tylko że najgorzej było z krzy-żem co próchniał, i z blachą — że zardzewiała i tylko można by-ło przeczytać te wyrazy:... a tyś szczęśliwy boś w niebie.

I tak sobie o starym pomyś-leli.

A potem Bolek palto i mary-narkę zdjął, bo było ciepło i żół-tą farbą, co ją z domu przyniósł — krzyż pomalował.

Na Leokadji świeżej mogile — w czarnym welonie córka Kon-stancja ze swoim mężem przy-klękła. Spłakała się i te szarfy od wieńców rozkładała, żeby się nie zajęły od zapalonych lam-ppek, w krzyż ustawionych. O pomniku mówili z kamieniarzem. Że będzie taki: na podstawie z kamienia krzyż, a pod nim serce z kotwicą. I napis na tem sercu się da. Ogrodzić — też koniecz-ne. Tylko nie tak, jak ten sąsied-ni, co to kamieniarz się naśmie-

wał, że słupki nieboszczykowi na brzuchu postawili. Więc szer-o-ko się ogrodzi. I na tem stanęło. Otaria sieroco łyż córka Kon-stancja i do młodego, przystojne-go kamieniarza, co na wino do Alkazaru prosił — uśmiechnęła się. I zaraz, razem z mężem jesz-cze przyklękali, przeżegnali się, westchnęli i poszli z kamienia-rzem.

Stasieńkę ojciec z Sewerynem odwiedzili. Czarne gałązki blusz-czu kawałkami białej rafii przy-wiązali, tak żeby wierszy nie za-słaniały.

Poszłaś córko ukochana tak daleko [poza światy

Ja codziem na twej mogile łzami [podlewam kwiaty.

Ojciec przez okulary w drucia-nej oprawie przeczytał to, poru-szając wargami. I tak smutnym wierszem wyrzut Stasieńce robił, że ich opuściła. Powtarzał go po-tem z pamięci, kiedy pilnował, jak malarz na świeżo malował ten blaszany wianek, zeszłoroczny wianek z róż. Róże teraz miały być różowe, a przy nich dębowe liście — na srebrno. Sewer znów, przez czas malowania — krzyż z kasztanów na Stasinym grobie ułożył. I tak się wszystko ładnie udało — i krzyż i wieniec, że ode-szli uśmiechnięci.

Do Stefci — matka z chrzestną z samego rana przyjechały i sie-działy do popołudnia. Zaraz kap-liczkę roztworzyły, szybkie wyny-ły, w środku oporządziły, nieza-pominajkowy wianek okurzyły. Matka za szybką firaneczką białą, z nowych odcień, zawiesiła. Chrzestna postawiła pod fotogra-fiją baranka złotego, a po bokach dwie małe doniczki z robionymi hiacyntami. Na samym grobku — osiem lampek w gwiazdę posta-wionych paliło się i skwierczało. Od nich światło padało na kap-liczkę Stefci, która wyglądała teraz ładnie i wesoło.

Mietka — to siostra z bratową, chyba z godzinę szukały i w ża-den sposób znaleźć nie mogły. Aż wreszcie na grobie krzyż żelazny, czarny, na ażur robiony poznały i zaraz do niego drutem przywiaz-ły tę blachę, co z sobą przyniosły. Blacha była od dołu i od góry zwijana, jak laurka i biało malo-wana. Na niej czarnymi literami napisane:

Cicho galezie, nie szumcie Naszego brata nie budźcie Bo już zasnął wiecznym snem. Leży pod krzyżem tem.

Pod tem było imię i nazwisko. I tak to wszystko porządnie wy-głądało i widać było odrazu czyi to jest grób, że siostra wcale Mietkowi tych ośmiu złotych co za laurkę zapłaciła już nie ża-łowała.

A Władek, co z kulą w sercu w zimnym grobie leżał — żadnych odwiedzin nie czekał, kiedy ktoś imieniem zawałał go po cichu. Wołała brzydka dziewczyna, Ka-rola dziobata, co nigdy za życia Władka na oczy nie widziała. W żalobie przyszła, szukała między umarlymi kochanka, co go wśród żyjących nie miała. Nad Władczy-ną mogiłą nieprzystojną się za-trzymała, chłopca pożałowała, co w dwudziestym czwartym roku życia od kuli morderczej zginął.

I już teraz był jej. Wianek, świerkowy, pachnący położyła na grobie i dwie świe-ce białe, duże, jak przy ślu-bie zapaliła. Z Władkiem gadała. Opłakiwała go i żałowała i cie-szyła się razem. Jakże ją kochał, jakże kochał, kiedy był żyjący. A teraz jest w mogile, a ona po nim wdowa. I zaraz na ludzi, co prze-chodzili, popatrzała — czy widzą, że swojego mężczyznę opłakuje.

I tak klęczała dumna i szczęśli-wa i rozpaczająca.

Aż się świece wypaliły. Potem — podniosła się, z serca go jesz-cze żegnała, obiecywała, że wró-ci, twarz łzami zalaną otarła i szła ku bramie.

Obok siedzi cieniem Władek. Odprowadzał dziobatą — jemu, umarłemu kochankę.

W alejach ścisł był i narodu moc. Wszyscy do bramy, do wy-ściecia szli, bo już robiło się ciemno. I Karola zobaczyła, że w tym ca-łym tłoku potracą ją tylko z prawej strony. Po lewej omijali ją tak, jakby przy niej ktoś szedł — chociaż nikogo nie było widać.

A na ulicy było już zupełnie zwyczajnie.

Keep smiling!

OSCHŁA JUŻ ZIEMIA,
OSUSZMY ŁZY...



Czy w Twoim lokalu wisi
nalepka, świadcząca, że opo-
datkowałś się na rzecz po-
wodzian?